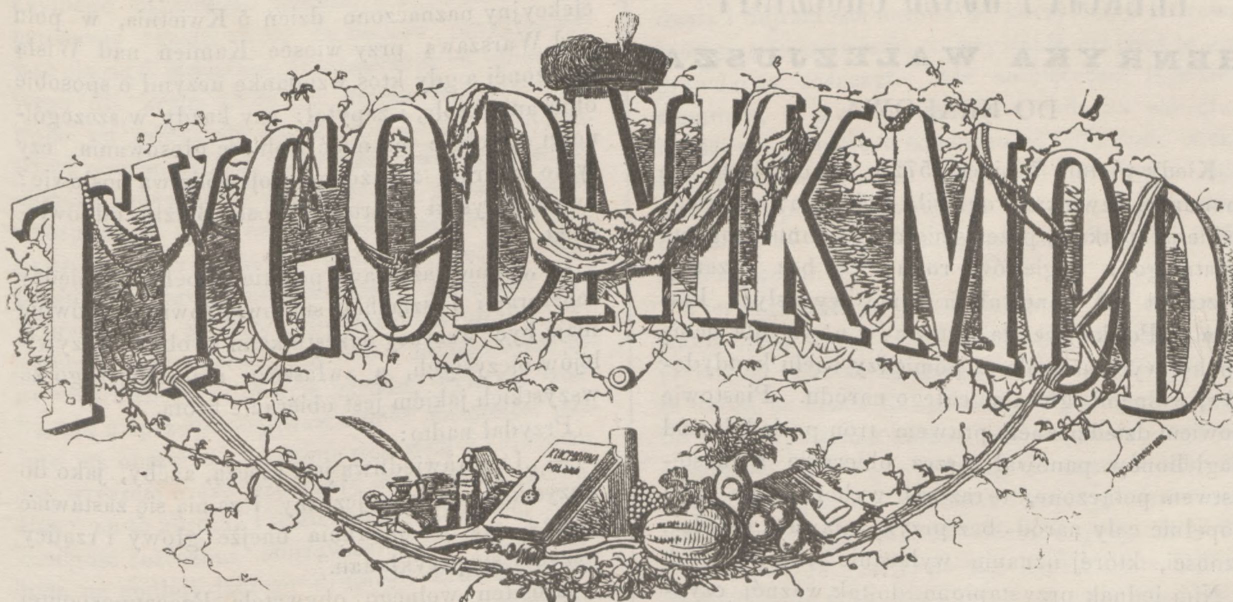
№ 24.

Warszawa, dnia 13 Czerwca 1863 r. 1 Czerwca.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— **—Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom daw. iéj Krzemińskiego.*

Od Redakcji.

Z dniem 1 Lipca b. r. kończy się prenumerata na pierwsze półrocze *Tygodnika Mód*, który pod temi samemi warunkami co i dotąd wychodzić będzie i w drugiem półroczu. Dla uniknienia zwłoki w odbiorze raczą Szanowni Prenumeratorowie składać wcześnie przedpłatę na właściwych Stacjach Pocztowych, do przyjmowania któréj, wszystkie Poczta nta upoważnione zostały przez Zarząd główny w Królestwie.— W Cesarstwie zaś oprócz przesyłania pieniędzy wprost do Redakcji, prenumerować można za pośrednictwem księgarni w Wilnie, Żytomierzu i Kijowie.

Po ukończeniu wkrótce powieści p. Pauliny Wilkońskiéj Mrowin i Trock, rozpoczniemy druk powieści historycznéj z końca panowania Jana Kazimierza. Wszyscy nowi Prenumeratorowie za zgłoszeniem się do Redakcji, odbiorą w odbitce tę część powieści p. Wilkońskiéj, która w pierwszém półroczu *Tygodnika Mód*, była drukowaną.

Ryciny paryzkie wyprawione w końcu Kwietnia dotąd jeszcze nie przyszły do Warszawy, brak ich więc zastępujemy innemi dodatkami, a których użyteczność w praktycznem zastosowaniu szczególniéj się zawsze staramy. Jak tylko jednak zaległy transport rycin odbierzemy dołączanie ich do numerów Tygodnika bez zwłoki czasu nastąpi.

Chociaż regularne odbieranie pisma naszego, wyłącznie od ekspedycji pocztowéj zależy, wszelkie jednak zażalenia wyniknąć mogące z tego tytułu, z jak największym pośpiechem starać się będziemy załatwiać. W wypadku więc nie dojścia których numerów, raczą Szanowni Prenumeratorowie udawać się wprost do Zarządu poczt adresując: Do Ekspedyeji Gazet w Królestwie, na papierze bez stempla i bez opłaty portorji. Cena prenumeracyjna pozostaje ta sama, a mianowicie: — *w Warszawie* kwartalnie złp. 10 (rs. 1 kop. 50); półrocznie złp. 20 (rs. 3); rocznie złp. 40 (rs. 6). *Na Prowincji*, rocznie złp. 50 (rs. 7 kop. 50); półrocznie złp. 25 (rs. 3 kop. 75). — *W Cesarstwie i Królestwie*, z dopłatą kopert pocztowych, rocznie złp. 63 gr. 10 (rs. 9 kop. 50); półrocznie złp. 31 gr. 20 (rs. 4 kop 75).

ELEKCJA I WJAZD UROCZYSTY
HENRYKA WALEZJUSZA
DO KRAKOWA.

Kiedy w dniu 7 Lipca 1572 r. dzwony kościelne ponurym dzwiękiem ogłosiły Polsce, o sieroctwie, jakie ją spotkało, przez śmierć Zygmunta Augusta ostatniego z Jagiełłów rodu, co bez przerwy przez lat 189 panował na tronie wygasłych Piastów; Polska weszła prawie w nową dla siebie epokę, wyboru króla z pomiędzy wielu kandydatów, wolnemi głosami całego narodu. Piastowie bowiem dziedzicznèm prawem tron posiadali, ród Jagiellonów panował przez obieranie z następstwem połączone, teraz zaś wyboru króla miał dopełnić cały naród bez przyznania mu dziedziczności, któréj uznanie wyłącznie sobie zostawił.

Nim jednak przystąpiono do tak ważnéj czynności, przede wszystkiém zajęto się zapewnieniem bezpieczeństwa tak wewnątrz kraju, jak i zewnątrz od napaści postronnych nieprzyjaciół. W tym celu odprawiono zjazdy i sejmiki w Małéj i w Wielko Polsce, w Prussach, Rusi i Litwie na których senatorowie i szlachta przyjęli konfederacją kapturem nazwaną, a to dla utrzymania spokojności w kraju i opatrzenia granic od sąsiadów. Czasu jednak na odbycie sejmu dla braku zgody oznaczyć nie mogli, a chociaż Prymas Uchański zaprosił stany na d. 9 Października, dla małego zjazdu senatorów sejm nie przyszedł do skutku.

Wkrótce jednak Prymas i znaczna liczba panów Małéj i Wielko Polski, zjechawszy się w miasteczku Kaskach położoném w województwie Rawskiém, uchwalili odbycie sejmików w d. 13 Grudnia, na których by rycerstwo każdego województwa, obrało po dwóch posłów, ze zdaniem na nich mocy ustanowienia nowego kształtu rządu, i zaradzenia wszelkim Rzeczypospolitéj potrzebom. Na sejm zaś przedelekcyjny oznaczono dzień 6 Stycznia następnego już roku 1573, dając mu miano *Convocationis*, i odtąd każdy sejm, który po śmierci królewskiéj następował, zwano konwokacyjnym. Miejscem zaś takowych sejmów, zawsze była Warszawa.

Kiedy w terminie oznaczonym wszystkie województwa wybrały posłów zaopatrując ich w stosowne instrukcje, sejm przed-elekcyjny rozpoczął się rozbiorem kwestji o władzę Prymasa podczas bezkrólewia. W wątpliwościach ztąd wynikłych, stany zawyrokowały, że moc naznaczenia sejmu i sejmików, tudzież mianowania króla podług głosów, należyć będzie do Prymasa, a do Marszałka ogłoszenie już obranego króla. Następnie na sejm elekcyjny naznaczono dzień 5 Kwietnia, w polu pod Warszawą przy wiosce Kamień nad Wisłą położonéj a gdy ktoś wzmiankę uczynił o sposobie obierania króla, i zapytał: czy każdy w szczególności szlachcic ma mieć wolność głosowania, czy tylko wybrani z każdego województwa posłowie? Jan Zamoysski Starosta i Poseł Bełzki odpowiedział:

— „Ponieważ prawa polskie zupełną pomiędzy senatorami i szlachtą stanowią równość, równie mają być wszyscy uczestnikami swobód i przywilejów ojczystych, a zwłaszcza najcelniejszego ze wszystkich jakiém jest obieranie króla.

Przydał nadto:

— „Iż sprawiedliwą jest rzeczą, ażeby, jako do wszystkieh bronić ojczyzny i za nią się zastawiać należy, tak do obierania onejże głowy i rządcy wszyscy się przykładali.”

Głos ten wolnego obywatela Rzeczypospolitéj znalazł ogólne uznanie, przyznano więc prawo głosowania całéj szlachcie bez żadnego wyłączenia, co dla Zamoyskiego stało się początkiem owéj późniejszéj w narodzie powagi.

Wniesiono także zawarte przymierze z dyssydentami, na czele których stał Firlej marszałek koronny i Piotr Zborowski wojewoda Sandomierski. Dyssydenci bowiem pragnęli obwarować sobie bezpieczeństwo i pokój w wierze, katolicy zaś wiedząc iż wewnętrznéj w kraju spokojności nic tak niezakłóca, jak niesnaski z różnicy wiary wynikające, zawarli z dyssydentami przymierze i zaopatrzyli je podpisami senatorów świeckich, duchownych i rycerstwa całéj nierozdzielnéj Rzeczypospolitéj. Gdy przymierze to przedstawione zostało sejmowi, powstał Prymas Uchański, i chociaż posądzany o sprzyjanie kacerskim nowościom, z taka wymową przeciwiał się jego przyjęciu, że nie tylko wszyscy biskupi wyjąwszy Fran. Krasińskiego odmówili podpisu, ale nawet wielu świeckich senatorów i posłów, którzy się wprzody na przymierzu podpisali od niego odstąpili. Tak więc błysnęło pierwsze żarzewie, wszystkich przyszłych nieszczęść kraju, które rozdmuchnięte przy pierwszem bezkrólewiu, miało płomieniem objąć całą Rzeczpospolitę.

Ostatnią sprawą jaką roztrząsano na sejmie, było żądanie pruskiego książęcia wyznaczenia mu miejsca na sejmie elekcyjnym, jako hołdownikowi Polski i przypuszczenia go tém samém do obioru przyszłego króla. Sejm jednak rozstrzygnienie tego domagania się zostawił woli obrać się mającego monarchy, i żądanie księcia odesłał bez za-

łatwienia. Na tem posiedzenie sejmu przedelekcyjnego ukończone zostało, i zgromadzeni senatorowie rozjechali się do domów przygotowywać się na 5 Kwietnia, przeznaczony na obiór nowego dla kraju króla, a zatém we trzy miesiące po odbytych naradach. I cały naród zawrzał nowém życiem, wszystkie dworce szlacheckie jak i magnackie napełniły się gwarem narad i rozpraw, a gdy nadchodził termin naznaczony na elekcją, wszystkie trakty, drogi i drożyny, wypełniły się orężnemi orszakami dążącemi pod Warszawę, i płynęły niby liczne strumienie ku jednemu zbiorowemu punktowi. Mnogość zaś tego wędrownego na elekcją narodu, była tak wielką, tak nieprzeliczoną prawie ilość namiotów rozbito na obszernéj równinie pod wsią Kamieniem, tak wreszcie oręże szczękały wojowniczo, że patrząc na te zbrojne i liczne hufce, zdało się, iż ta mnogość rozłożona obozowiskiem, prędzéj przybyła na podbój jakiego drugiego królestwa, niż na obiór dla siebie ukoronowanego zwierzchnika.

W pośrodku równiny z rozkazu Marszałka koronnego, rozbito namiot po zmarłym pozostały królu, dla narady senatorów i ministrów koronnych. Poźniejsze czasy miejsce to senatorskich obrad nazwano Szopą, i stawiać poczęto budynek drewniany którego wierzch od deszczu i słońca tarcicami okryto, a ściany osłoniono firankami. Dla posłów zaś do narady, miejsce wyznaczono przed namiotem, które na elekcji króla Batorego nazwane kołem, dotychczas miano to zachowało. W znacznem dopiero oddaleniu od senatorów i posłów, mieściły się województwa to jest szlachta zgromadzona na elekcją, a rozbite namioty ustawione systematycznie, nadawały pozór obszernego i licznego obozu.

I pięknym był widok tego mrowiącego się ludu, nie przeczuwającego może w téj chwili, że to, co go dziś tak wysoko stawialo w uczuciu własnéj godności, dla prawnuków stanie się powodem upadku i poniżenia. Dla obwarowania publicznego bezpieczeństwa i pokoju, postanowiono Sądy kapturowe, przez które wszyscy czy Polacy, czy cudzoziemcy, którzyby co na polu elekcyjném przewinili sądzeni być mieli.

Sądy te nazwano *Judicium Compositum*, jako składające się z senatu i rycerstwa. Wchodziło bowiem do nich, trzech senatorów przez Prymasa wybranych z każdege narodu jeden, i dwunastu posłów, z każdego narodu po czterech.

Po ustanowieniu tego i niektórych innych rzeczy należących do porządnego odbycia elekcji, przystąpiono wreszcie, do rozpoczęcia samego sejmu.

Postępowanie więc całe jak widziemy było pełne godności i powagi, odpowiadało wielkości zadania i dojrzałości narodu do korzystania z prawa którego postanowienie i używanie przynosiło mu prawdziwy zaszczyt. Ale namiętności ludzkie, ciemnota, a ztąd płynąca przesadzona samolubność, nie pojmująca solidarności jednostek z całém społeczeństwem, nawet tę attrybucją tak wzniosłą i piękną, potrafiły sponiewierać i zrobić jedném z wielkich źródeł poniżenia i upadku całéj Rzeczypospolitéj.

Pierwsza elekcja otwierając pole do wyzyskiwania coraz większych swobód społecznych, i korzystnych obietnic kandydatów do tronu, popchnęła naród na bezdroża, po których postępując rozbił się na tysiączne kółka i tém samém wyzbył się z jedności, która go pod Jagiellonami robiła silnym na zewnątrz a potężnym i bogatym wewnątrz. Kandydaci bowiem cudzoziemcy przy staraniu o tron tworzyli partje, pociągając ku sobie różnemi sposobami znakomitszych obywateli, a ci chcąc znaczenie swoje powiększyć, garnęli pod skrzydła mniejsze obywatelstwo i drobną szlachtę, także obietnicami opieki, promocji i innemi ofiarami i przyrzeczeniami. Obiór więc króla tworzył zaraz oponentów z tych, których się zamysły względem własnych kandydatów nie udały, i król obejmający tron znajdował tém samém więcéj dla siebie nieprzychylnych, jak przychylnych. Wprawdzie nieprzychylność ta z dniem koronacyjnym milkła, okrywając się cieniem tajemniczym, ale nie mogła jednak tak zginąć zupełnie, aby przy pierwszéj lepszéj sposobności nie stała się jawną. Sposobność do tego zawsze dawało rozdawnictwo łaski królewskiéj i urzędów koronnych, zwykle najwięcéj spotykające jawnych przedelekcyjnych przyjaciół króla. Ztąd naturalnie wynikała niechęć i zawiść w pominiętych, przechodzące w całą partję obrażonych dostojników, wyczekujących tylko chwili wypłacenia się, pięknem za nadobne.

Król znowu przez takie objawy niechęci, czując się słabym, starał się o umniejszenie swobód, a nie o ich rozszerzenie, ztąd walka i krzyki i nowe powody ogólnego niezadowolenia. Zamiast więc wytężenia uwagi, na rozwój sił narodowych w kierunku dobrobytu i powagi państwa, wyczerpywano się na wewnętrzne niesnaski: król myślał o umocnieniu swéj władzy, do czego za najpierwszą zasadę kładł dziedziczność tronu, magnaterja pracowała nad zniweczeniem zamiarów królewskich, a pomniejsza szlachta wpływ swój i znaczenie rozdzielała pomiędzy możnych protektorów. Ilu zaś ich było, na tyle kółek rozdzielał się naród, które chociaż ścierały się pomiędzy sobą, na pilnéj jednak

stały straży praw obowiązujących króla, powiększanych z każdą elekcją coraz nowszemi wymaganiami i zdobyczami.

Przy ginącej oświacie, tak potężnym blaskiem przyświecającéj krajowi za Jagiellonów, a ze śmiercią Zygmunta Augusta przygaszonym, coraz więcéj powstająca umysłową ciemnicą walka taka wewnętrzna narodu, stała się zgubną, i nie tylko zniszczyła wszystkie zasoby moralne i materjalne, ale go ubezwładniła zupełnie i wprowadziła w niemoc i zobojętnienie prawie niepojęte.

Nie instytucji to jednak było winą, ale czasu, podobna ona do delikatnéj rośliny, wymagała ciepła oświaty, które dając rozumne jéj pojęcie potrafiłoby wyrobić w narodzie równie rozumne jéj poszanowanie, i potrzebę zrzeczeń własnych widoków i namiętności, dla dobra powszechnego.

Utrzymanie równowagi między własnym interesem a ogólnym, pojęcie solidarności z całym narodem, zrozumienie jasne, że dobro ogólne jest dobrem każdego po szczególe, i że wszelkie działanie szkodę przynoszące ogółowi, jest równie szkodliwe dla jednostek go składających, daje tylko prawdziwa oświata, któréj znowu brak, ścieśniając koło poglądu na obecność i przyszłość, ścieśnia także działanie członków społeczeństwa, nie przechodząc z niem po za własny interes.

Dlatego téż panowanie Walezjusza i Stefana Batorego, wspomagane szczątkami oświaty Jagiellońskiéj, nazywają się jeszcze czasami kwitnącemi Polski, gdy tuż idące za niemi panowanie Zygmuta III, zajętego więcéj fabrykacją złota i Jezuitami, niż sprawami państwa, więcéj ociemnianiem narodu, niż jego oświecaniem, rozpoczyna upadek. Oddziaływanie takie niknącéj oświaty z rokiem niemal każdym staje się widoczniejsze: naród przestaje pojmować najprostsze swe interesa, na wszystko pogląda z dziwną obojętnością, w proroctwach zguby widzi przesadzone groźby, w otaczających niebezpieczeństwach tylko chęci dla siebie szkodliwe, i we wszystkiem opuszczając ręce, nawę ojczystą powierza saméj Opatrzności Boskiéj, która obok ufności i modlitwy, nakazuje także staranie i pracę. I w powiększającéj się ciemnicy, naród pozbywa się wreszcie nawet sądu o rzeczy, pochlebianie namiętności bierze za głos przyjaźni, słowa prawdy za obrazę i zamiary szkodliwe, i idąc po omacku, nie widzi pod nogami przepaści. Pobłyski oświaty za Stanisława Augusta, już nie zdołały przedrzyć roztoczonéj wszędzie ciemności, promienie jéj nakształt świetnych meteorów przebiegały tylko po wierzchu, nie mając siły wstąpić do samego wnętrza. (d. c. n.)

---

* * *

Pisma zagraniczne przyniosły wiadomość bardzo ciekawą o Elżbiecie Blackwell, Amerykance z północnéj Karoliny, w streszczeniu powtarzamy ją, jako zapowiedź wielkich zmian społecznych, czekających nas w niedalekiéj może przyszłości.

Elżbieta Blackwell była najstarsza z siedmiorga dzieci, które przez śmierć ojca podupadłego kupca, razem ze swą matką znalazły się w bardzo smutném położeniu. Że zaś słabowite usposobienie matki nie pozwalało jéj zajmować się najmniejszą nawet pracą, wymagającą wytężenia, cały więc ciężar utrzymania tak licznéj rodziny spadał na Elżbietę, młodą szesnastoletnią panienkę, zajmującą się podówczas dawaniem lekcji w prywatnych domach i mniejszych zakładach naukowych publicznych. Wierna przyjętym dobrowolnie obowiązkom, przez lat siedem była aniołem stróżem i chlebodawcą swéj rodziny, którą doprowadziwszy do możności utrzymania się własną pracą, sama oddała się nauce, z zapałem i energją jakiemi nawet mężczyźni rzadko pochlubić się potrafią. Że zaś oddawna szczególny miała pociąg do anatomji i nauk przyrodzonych, postanowiła poświęcić się medycynie i chirurgji, w tém przekonaniu, że uczyni wielką przysługę płci swojéj, wskazując nowy dla kobiet sposób utrzymania się, i usuwając od nich przykre położenie, w jakiém zmuszone nie raz znajdować się w obec doktorów płci męzkiéj.

Z silném więc postanowieniem, Elżbieta Blackwell w dwudziesiym czwartym roku życia, piękna, miła, utalentowana, a nawet znakomicie już wykształcona, wyruszyła z rodzinnego miasteczka Charlestown, do Philadelfii w celu wejścia do szkoły lekarskiéj, zaopatrzona na drogę nie żadnemi datkami i ofiarami możniejszych, ale funduszem zebranym z kilkuletniéj bardzo skrupulatnéj własnéj oszczędności. Zaraz jednak na wstępie urzeczywistniania swéj myśli, Elżbieta przekonała się, że nim zacznie się łamać z trudnościami nauki, musi wprzódy walczyć z uporem i uprzedzeniem mężczysn, którzy mimo cywilizacji i galanterji, w wyobrażeniu o siłach umysłowych kobiety, nie zupełnie jeszcze odstąpili od pojęć wschodnich wyznawców proroka. Lekarze bowiem będący na czele szkoły lekarskiéj w Philadelphii nie tylko że jéj odmówili przyjęcia, ale niektórzy z nich zgorszeni tak niestosowném żądaniem, przesłali tę wiadomość innym pobliskim zakładom, napomykając

coś przy ironicznêm wyrażeniu się o suplikantce, o obłąkaniu zmysłów i potrzebie osadzenia jéj w domu zdrowia w razie ponowienia żądania.

Dowiedziała się o têm Elżbieta, tecz niewzruszona w swém postanowieniu, starała się dopiąć celu innemi drogami, i zaprzestawszy starań pomieszczenia się w szkole medycznéj, postanowiła zbliżyć się do którego z professorów i od niego pobierać prywatne lekcje medycyny. Po długich usiłowaniach i przeszkodach, zdołała nareszcie zaznajomić się z doktorem Allen profesorem anatomji i chirurgji. Człowiek ten mniéj uprzedzony niż inni, nie odmówił jéj swéj pomocy naukowéj, jednakowoż nie taił, iż wszystkie zabiegi Elżbiety i jéj nauka, na nic się nie przydadzą, gdyż wątpi, aby która akademja ohciała ją przyjąć i nadaniem dyplomu otworzyła jéj wstęp do grona medyków. Widząc jednak duży zasób wiadomości w Elżbiecie, poznawszy jéj niezwyczajne zdolności, a co najważniejsza przekonawszy się, iż kobieta ta jest przy zdrowych zmysłach o czém ciągle powątpiewał, polecił ją nadto profesorom akuszerji i terapji. Ci trzej ludzie zachwyceni zdatnością i pracą Elżbiety, nie szczędzili trudów dla swéj młodéj uczennicy, a widząc w niéj wielkie postępy, prowadzili ją do chorych, ilekroć razy mogli to uczynić w sekrecie, tak przed członkami akademji jak i uczniami.

Przez trzy lata prywatnych tych lekcji, Elżbieta tak postąpiła w naukach i tyle doświadczyła medycznéj praktyki. iż tylko brakowało jéj patentu, aby mogła zostać doktorem. Ale w têm właśnie spoczywała największa trudność, gdyż trzeba było wejść koniecznie do jakiéj akademji, do któréj wstęp przed trzema laty, w tak upokarzający sposób został jéj odmówiony. Professorowie zaś mimo wydanych jaknajpochlebniejszych świadectw na piśmie, z obawy śmiechu i ironji świata, odmówili jéj wszelkiéj pod tym względem pomocy. Nie złamało to jednak silnéj duszy Elżbiety; dostawszy spis wszystkich akademji w Ameryce, postanowiła koleją wnieść żądanie do każdéj po szczególe, a pisząc o têm do siostry, tak się wyraziła.

„Puszczam me strzały na wszystkie strony nie wiedząc, czy która trafi do celu: być może że z pomiędzy tych jedna będzie szczęśliwszą i zamiast egoizmu i uprzedzeń napotka współczucie i rozsądek. Oh! gdybym wszędzie znalazła u moich rodaków oziębłość i wzgardę, z boleścią w sercu udać się będę przymuszoną do obcych i w Europie szukać pomocy, ale zamiaru mego nie odstąpię: muszę zostać doktorem".

Dwanaście akademji na podanie Elżbiety odmówną przesłały odpowiedź, a niektóre dołączyły uwagi wykazując niestosowność jéj żądania, z opinją, iż fakultet medyczny, nigdy nie był i nie będzie otwartym dla istot, którym sama natura przeznaczyła igłę i krosna. Ale przyszła nareszczcie chwila nagrody dla wytrwałości Elżbiety: fakultet medyczny w mieście Genewie stanu Nowo-Jorskiego, przysłał przychylną odpowiedź, i nadto przyłączył protokół posiedzenia uczniów w którym zamieszczone było z największą sumiennością, wszystko co na niem było mówionêm, a co mogło Elżbietę zachęcić lub odstręczyć od przedsięwziętego postanowienia. Posiedzenie zaś to uczniów w całym rozkwicie młodości, było nader wesołe, radujące się niemal, że mieć będą kobietę młodą, obecną przy dyssekcji ciał ludzkich, przy wykładzie niejednéj drażliwéj materji i że razem z nią uczęszczać będą do szpitali. Wiadomość tę Elżbieta przyjęła z niewymowną radością i zaraz w Maju r. 1847, zapisaną została, w księgę uczni akedem:ckich.

Od téj chwili nowy zawód, a z nim nowe dolegliwości i zmartwienia rozpoczęły się dla Elżbiety. Dotąd jakkolwiek obeznana ze wszystkiemi tajemnicami medycyny, zdobywała je jednak w obecności tylko swoich professorów, ludzi zacnych, żonatych, i będącyah już w wieku, teraz zaś, miała się znajdować codziennie w licznêm gronie młodzieży, różnéj usposobieniem, i do tego w czasie wykładów anatomicznych. Aby więc uniknąć, straty zimnéj krwi w tak potrzebnéj chwili i nie stać się powodem jakiego zamięszania, Elżbieta skromna niezmiernie w pokarmie, zredukowała go tylko do chleba i mleka, skutkiem czego twarz jéj przybrała cerę trupiéj bladości, i tym lub innym sposobem osiągnąwszy władzę nad sobą, przy wykładzie naukowym lub jakiéj operacji, żaden wyraz twarzy, rumieniec lub drgnięcie muskułu nie zdradziło jéj uczuć. Pragnąc zaś odsunąć wszelkie wybryczki kolegów, żadnéj z niemi nie zawierała znajomości, a podczas wykładu oczy zawsze zwrócone miała na professora lub na notatkową książkę.

Zaczepki jednak uczniów nie ustawały. Raz w czasie przedstawienia naturalnych okazów anatomicznech i kreślenia ich na tablicy, mały bilecik padł na rękaw jéj sukni. Nagłe uciszenie dało jéj poznać, że wszystkie oczy na nią zostały zwrócone, pojmując więc ważność chwili, dokończyła notatek, a potém podniosła rękę z leżącym na niéj bilecikiem, lekkiém trząśnięciem zrzuciła go na ziemię i zwracając się na stronę napaści, odezwała się głosem donośnym:

— „Miejsce to i czas jako poświęcone nauce, za nadto są drogiemi, aby je marnować bezpożytecz-

nie na prześladowaniu kobiety co pragnie jak wy światła i nauki. Téj zaś nie nabędziemy tylko przez pilność, poszanowanie tego miejsca i siebie samych".

Na słowa te pełne godności, huczne brawo zatrzęsło całą salą, a nikczemny grubjanin przymuszony został opuścić audytorium. Podczas całéj téj sceny, Elżbieta zajęła się notatami z tak zimną krwią, jak gdyby to co się działo, wcale jéj nie dotyczyło. Professorowie i uczniowie zdumieni tą siłą charakteru, jednomyślnie wynurzyli swe współczucie i przepraszając za zamiar ubliżenia jéj ręczyli słowem honoru, iż najusilniejszém ich staraniem będzie, aby się nic podobnego w przyszłości nie powtórzyło. Od téj chwili powaga Elżbiety została ustaloną, Na ulicy witano ją głębokim ukłonem, w audytorium nikt nie poważył się zająć jéj miejsca, a gdy do niego przybyła, przyjmowano ją powstaniem z miejsc i głęboką ciszą niczém nigdy nie przerwaną. Każdy spieszył na jéj usługi, każdy ustępował miejsca dogodniejszego, przy łóżku, w szpitalu lub stoliku w laboratorium, słowem Elżbieta zyskała sobie szacunek młodzieży, którego mógłby pozazdrościć niejeden professor.

Ale prześladowania nie ograniczały się na saméj szkole. Mieszkańcy Genewy, oburzeni wiadomością, że kobieta ośmiela się posiadać u siebie w domu czaszki, szkielety i różne przedmiota w spirytusie, wydali ogólny wyrok, że to musi być bezbożnica nie godna imienia kobiety.

Na wyraźne przeto żądanie lokatorów, nie chcących razem mieszkać z nią pod jednym dachem, wymówiono Elżbiecie mieszkanie; hotele i oberże odmówiły jéj również pomieszczenia, tak że biedaczka nie miałaby się gdzie podzieć, gdyby nie zlitowanie się żony jednego z professorów akademji, która ją na mieszkanie do siebie przyjęła. Gdy szła ulicą, zewsząd podnosiły się krzyki: — „Patrz! to ona, albo wołanie uliczników: z drogi! oto kobieta doktór." Wówczas otwierały się wszystkie okna, przechodnie się gromadzili, a spoglądając na nią, jak na jaki potwór przedpotopowy, rozchodzili się mówiąc: to warjatka!

Lecz mała i drobna postać Elżbiety, skromnie odzianéj, z twarzą bladą nie mogła długo bawić mieszkańców Genewy, wkrótce też przestali zajmować się warjatką, jak ją powszechnie nazywano. Ze swéj znów strony Elżbieta nigdzie nie bywając, siedziała u siebie zajęta nauką i jéj wyłącznie oddana. W tym czasie, rodzina polepszywszy swój byt, przysłała jéj dosyć znaczną kwotę pieniężną na jéj wyłączne potrzeby, wywzajemniając się za pomoc jaką wprzódy od niéj odbierała. Ale Elżbieta przyzwyczajona do niewygody i niedostatku, pieniądze przystane użyła na wspomożenie biednych a szczególniéj kobiet niższéj klassy. Nie długo też dobroczynność jéj stała się głośną, a błogosławieństwa jakiemi ją obsypywano, były niejako zaprzeczeniem dawnych obelg i przeproszeniem za nie. Modne damy Genewy, zmieniły także swoją o niéj opiniją. Kongregacja jednego z kościołów przysłała jéj zaproszenie na członka i miejsce bezpłatne w ławkach koscielnych, ci zaś co nie wstydzili się miotać na nią obelg i wypędzili z pomieszkania, dziś na wyścigi starali się zapraszać do siebie, mówiąc o niéj z największém uwielbieniem. Pomimo tego Elżbieta pozostała w samotności, wymawiając się grzecznie brakiem zupełnym czasu: tą razą nie nazwano już jéj bezbożnicą, ani warjatką, lecz dumną filozofką.

Ubiór zawsze nosiła perkalikowy, w święto brała suknię wełnianą. W pamiętnikach swych pisze:

— „Jedynego zbytku, jakiegom się dopuściła, jest sprawienie sukni jedwabnéj na akt uroczysty, podczas którego mam otrzymać mój dyplom. Ten kawałek pargaminu, na który pracuję i czekam z upragnieniem od lat tylu, będzie mi doręczony za kilka miesięcy. Niechże mi będzie choć wówczas wolno, w dniu tak uroczystym i długo wyczekiwanym okazać się według reguł światowych i jak nazywają przyzwoicie ubraną. Wreszcie na dzień ten każdy z moich kolegów stara się odziać elegancko; wszyscy professorowie i przełożeni zakładu ukażą się we wspaniałych togach, mnóstwo uczonych i ciekawych zapełni salę i galerją; niech choć wtenczas nie mówią, żem oryginał, a mam nadzieję: że Bóg mi wybaczy tę słabość."

W końcu Styczna 1849 r. odbył się akt zamknięcia kursów akademji i doręczenia dyplomów. Pisma publiczne ogłaszając tę uroczystość, nadmieniły, iż w dniu tym doręczony zostanie po raz pierwszy w świecie, patent na doktora medycyny i chirurgji kobiecie.

Sala też była natłoczona, a po nabożeństwie i wstępnych mowach, prezydent odczytał sprawozdanie z czynności akademji, w którém przytoczył, iż pomiędzy studentami kończącemi kurs nauk, znajduje się kobieta, któréj praca, talent, łagodność charakteru, cnota i współczncie dla biednych, są tak godnemi uwielbienia, iż zbrodnią byłoby zamilczéć o nich, jakoteż o nazwisku kobiety pełnéj tak szlachetnych przymiotów, Przy tych słowach obróciwszy się ku Elżbiecie mówił dalej:

— „Niech mi wybaczy osoba, o któréj mówię, lecz słowa te płyną z serca. Osobą tą jest panna Elżbieta Blackwell, któréj obecność w tutejszéj

akademji wywarła podczas bieżącego kursu nauk, niemal czarodziejski wpływ na wszystkich uczniów. Od lat dziesięciu, jak jestem zakładu tego prezydentem, w żadnym roku wychodzący uczniowie nie okazali tyle pilności i moralności, co w bieżącym. Przez usta moje składają ci oni swe podziękowanie, bo zachęceni jak powiadają twoim szlachetnym przykładem, starali się choć w części go naśladować. Przyjm także podziękowanie od municypalności tego miasta, a głównie od biednych, którym tyle dobrego świadczyłaś w całéj cichości i skromności serca twego. Przybliż się teraz zacna niewiasto i odbierz tę aczkolwiek błachą nagrodę, na którąś zasłużyła nie tylko pracą i nauką, ale cnotą i wzniosłością serca twego."

Na te słowa jeden z sędziwych professorów w todze, podawszy rękę Elżbiecie wprowadził ją na estradę. W sali zapanowała grobowa prawie cisza, ale jak tylko dziewica-doktór ukazała się na wzniesieniu, wzniósł się mały szmer uwielbienia, w jednéj chwili sala zatrzęsła się od brawa i oklasków, i każdy poszepnął: ach! jakże jest piękną. I rzeczywiście Elżbieta była cudownie piękną; jéj płeć blada i delikatna, pięknie odbijała od czarnéj jedwabnéj sukni, ozdobionéj białym koronkowym kołnierzykiem i mankietkami, a szkarłatny rumieniec pierwszy od lat kilku jak sama mówiła, co wystąpił na te blade lica, nadawał nowego blasku całéj twarzy, przemawiającéj rozumną myślą i wewnętrzną pogodą duszy. Chwilą tą uroczystą Elżbieta była tak wzruszoną, że według własnego jéj zeznania, gdyby nie obawa zakłócenia ogólnego porządku, byłaby padła na kolana aby się ukorzyć przed majestatem Najwyższego i złożyć Mu dzięki za doświadczoną łaskę i opiekę nad sobą. Bo czyż mogła się spodziewać biedna sierota od wszystkich opuszczona, wystawiona tyle razy na pośmiewisko i urągania, iż dziś stanie się przedmiotem powszechnego uwielbienia, wobec tysiąca nieznanych dla niéj świadków?

Gdy za danym znakiem, nastąpiła cisza, prezydent wręczył Elżbiecie dyplom mianujący ją doktorem medycyny chirurgji i akuszerji w języku łacińskim, w którym wyraz *Dominus* zmieniony był po raz pierwszy na *Domina*. oraz medal, który akademja wybić kazała, zs stosownym napisem. Przyjmując obydwa te godła, Elżbieta wyrzekła głosem drżącym:

— „Panie prezydencie! Wzruszona do głębi serca temi niezasłużonemi pochwałami i tym niespodziewanym zaszczytem, przekonana, iż nic w życiu mojém nie uczyniłam więcéj nad to, co obowiązek każdego człowieka mu nakazuje, składam najprzód dzięki Przedwiecznemu za Jego łaskę i opiekę, jakiéj mi udzielić raczył, dozwalając spełnienia najgorętszych swych życzeń. Wam zaś szanowni mężowie, którzy ponieśliście tyle trudów około mego wykształcenia, wyraz dośmiertnéj wdzięczności: to samo i wam szanowni moi koledzy za waszą przyjaźń i szczerą z serca idącą pomoc. Usilném i jedyném staraniem mém będzie, abym godnie odpowiedziała honorowi, jakim mnie zaszczycić raczyliście i święcie wypłacić się mogła bliźnim moim z długu, jaki względem was i względem całego społeczeństwa zaciągnęłam. Mam zaś nadzieję, że Najwyższy nie odmówi mi i nadal swéj łaski do wytrwania w pracy i sumiennem pełnieniu moich obowiązków."

Słowa te pełne tkliwości, nacechowane skromnością i pobożnością, zostały przyjęte rzęsistemi oklaskami: łzy co nie w jedném zabłysły oku, sama Elżbieta nie mogła się od nich powstrzymać, i potém wszyscy, prezydent, professorowie i uczniowie pośpieszyli uścisnąć rękę téj zacnéj i szlachetnéj niewiasty. Przy wyjściu z akademji, znowu ją spotkała niespodzianka. Ubodzy którym tyle świadczyła, zebrali się tłumnie, żeby raz ostatni jéj podziękować i uczcić łzami wdzięczności. Niejedna biedna wyrobnica z kwilącém niemowlem na ręku spieszyła, żeby ją jeszcze raz ujrzeć, dotknąć się choć skraju jéj sukni, choć w oddaleniu uczcić łzawém okiem jéj pamięć.

Elżbieta Blackwell obecnie jest jednym w mieście Nowym-Jorku, z najbardziéj poszukiwanych doktorów, szczególniéj przez kobiety. Boleść jednak i upokorzenie, jakich doświadczyła w czasie słuchania kursów, zrodziła w jéj myśli postanowienie, założenia akademji medycznéj wyłącznie dla kobiet, do czego już posiada znaczne summy na ten cel uzbierane. Ostatniemi czasy przybył jéj nowy kolega doktor, w osobie rodzonéj siostry Emilji, która ukończyła nauki również zaszczytnie w téjże samej co i ona akademji.

Tak więc cnota, praca, wytrwałość i skromność, pierwszy może raz spotkały nagrodę, na jaką zasłużyły. (*).

Nowości Zagraniczne.

Le conseiller des dames et des demoiselles. Najnowsze garnirowania dają dziś w zęby; tak nazywają falbanki, rusze, i wstawki gipiurowe. Stanik z kamizeleczką i małym karoczkiem ciągłéj używają wziętości. Rękawy robią nie szerokie, rozcięte do łokcia, wygarnirowane stosownie do spódnicy.

(*) Biblioteka Warszawska za Czerwiec.

Przytaczamy tu ładną suknię z popielatéj letniéj popeliny, przybraną u dołu dwoma rzędami wstawek gipiurowych, w gzygzak. Pomiędzy wstawkami, naszyty był kilka razy gładko czarny sutasz, równie jak po zewnętrznéj stronie wstawek. Stanik do tego gładki, przepasany pasem szwajcarskim, z bawetem z przodu i karoczkiem w tyle. Rękawy dosyć wązkie ścięte od łokcia, miały mankiety i żokeje odznaczone odpowiednio wstawkami i sutaszem.

Inna suknia bareżowa także popielata miała trzy falbanki fałdowane w odstępach, z wypuszczoną główką. Najniższa falbanka dana była prosto, wyższe dwie tworzyły zęby. Na stanik gładki wycięty, szła chusteczka bareżowa, skrzyżowana na piersiach, przybrana dwoma falbankami. Rękawy przemarszczane były w podłuż.

Paski skórzane, nabijane gwozdzikami, z takąż torebką spadającą z boku, bardzo dobrze wyglądają do codziennego ubrania.

Journal des jeunes personnes. Rotondy czyli peleryny, takie same jak suknia, bardzo się w tym roku upowszechniły. Robią je z materji, z popeliny, z lustryny, z fularu, a nawet z perkaliku, i piki. Widzieliśmy przygotowane na wieś, ładne suknie popielate perkalikowe, z odpasowanym szlakiem naśladującym gipiurę czarną. Stanik złożony z hiszpańskiego kaftaniczka i kamizelki, miał szlaczek odpowiedni węższy niż na spódnicy. Takaż sama rotonda służyła za okrywkę.

Kapelusiki okrągłe, coraz się więcéj pojawiają, i stanowczo biorą górę nad innemi. Główka u nich wysoka rondko małe, ponieważ kapelusze te mało zasłaniają od słońca, przyjęto do nich modę okrągłych woalek.

Do ubrania kapeluszy okrągłych nie same pióra są używane, zdobią je także bukietami kwiatów i kłosów. Jako nowość wspominamy kapelusiki ubierane zasuszaną trawką, i uaturalnemi szyszkami rozmaitego rodzaju.

Petit courrier des dames. Wszystkie elegantki paryzkie, przyjęły modę kardynałek. Noszą je albo takie jak suknia, albo czarne ozdobione koronką. Przytoczemy tu kilka najświeższych wzorów, jakieśmy obecnie widzieli.

Kardynałka do ubrania czarna jedwabna, przybrana była dwoma wolantami koronkowemi, ruszka z materji, przytwierdzała koronkę.

Kardynałka czyli rotonda kaszmirowa, objęta była wkoło ruszą z kaszmiru wystrzyganą w maszynie.

Inna także kaszmirowa czarna, wygarnirowana gipiurą; miała oprócz tego naszyte wstawki gipiurowe podwleczone wstążką białą.

Noszę także bardzo kardynałki czarne koronkowe, niekiedy podbite białą materją. Oprócz kardynałek, wiele widać paletocików czarnych jedwabnych, przybranych ruszami.

Kołnierzyki małe webowe, a do nich rękawki muszlinowe, z szerokim i obcisłym mankietem webowym, spiętym na złote lub czarne guziki, upowszechniły się do tego stopnia, że je noszą nawet do ciężkich sukien materjalnych. Niektóre kołnierzyczki płócienne obszywają wązką walansienką.

Spódniczki wełniane pod suknie, przybierają powszechnie dwoma falbankami, lub przynajmniéj jedną, objętą rulonikiem aksamitnym. Na to idzie suknia bez garnirunku, ściągnięta za sznurki w festony. Pończochy powinny być takie same jak spódniczka.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia czarna jedwabna, naszyta u dołu sześć razy wstawką gipiurową; siódme naszycie dane jest w zęby. Kaftanik *Sénorita* na białéj jedwabnéj kamizelce. Można także zrobić cały stanik z czarnéj jedwabnéj materji, a kaftanik oznaczyć wstawką gipiurową. Rękawy ścięte i zaokrąglone do łokcia. Kołnierzyk i rękawki muszlinowe.

Figura 2. Suknia z czarnego fularu wełnianego, ubrana u dołu skośnemi plisami jedwabnemi albo z tego samego materjału. Stanik gładki z jednym bawetem i rękawy ścięte do łokcia, przybrane także pliskami skośnemi. Kapelusz włosienicowy ubrany materją i koronką.

Ubranie panienki 9-cio letniéj. Suknia z gęstego popielatego mozambiku, ubrana u dołu ruszami jedwabnemi. Stanik wycięty i otwarty zupełnie z przodu spojony ruszami jedwabnemi. Rękawy zaokrąglone odpowiednio przybrane. Bluzka muszlinowa. Kapelusz ze słomy angielskiéj ubrany piórami.

KORRESPONDENCJA.

Na kościół Marjawitek w Częstochowie nadesłano z Tulczyna na ręce Fr. P. Od K. K. złp. 16 gr. 20; od R. R. złp. 16 gr. 20; od K. B. złp. 6 gr. 20.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

№ 24.

Dodatek do Nru 24 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 13 Czerwca 1863 roku. *1 Czerwca.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ II.

(Dalszy ciąg).

— *Guwernatka!* Istota podrzędna!... *Vous radotez!*

Alfons roześmiał się znowu, i mocny rumieniec oblał mu lica.

— Wszakże żartujesz? — Klementyna błagalnie wyciągnęła złożone ku niemu dłonie.

— Zapewne, tak! — i głośniejszym jeszcze parsknął śmiechem.

— Żartowałeś! *Vous m'avez terrifié!* — ujęła jego ręce obiedwie.

Alfons smiał się ciągle — lecz Klementyna rozpoznać nie umiała, czyli śmiech ten był przymusowym lub nie.

— No! — zawołał na raz jeden — dajmy już pokój tej dramatyczności!... Bądź spokojną, pośmiej się!.... Zejdź do salonu, bo Stasko twojego przyjścia wygląda — i usuwał ręce, które ciągle trzymała.

— Przeraziłeś mnie!

— Och! — rozśmiał się znowu — przycisnął rękę jéj do ust i puścił ją nagle. Chodź do salonu! — zawołał i wybiegł.

Za drzwiami przystanął — przycisnął rękę skuloną do piersi — i pobladł, jak mara. Potém szybko do ogrodu wypadł. — Gdy po długiéj chwili wszedł do salonu, był takim, jak zwykle: niby trzpiotowato-wesołym. W salonie ożywiona toczyła się gawędka. Usiadł przy fortepianie i skoczną zabębnił polkę.

Dano znać do śniadania. Ukazała się Anna z Klocią — i wszyscy przeszli do sali jadalnéj.

Alfons prawił o wyjeździe swoim — o Warszawie i Krakowie. Smiał się — rzucał żarcikami — zaczepiał Klementynę, Stanisława, Łasińskiego. Przytaczał wiersze polskie, francuzkie, włoskie, angielskie, niemieckie — był niby w nader dobrym humorze, podnieconym a dziwnym jakoś.

Gdy Anna, jak zwykle bywało, wyszła z Klocią na przechadzkę do ogrodu, znalazł się pan Alfons niebawem przy nich: odbiegł *wisth'a*, którym sobie czas spędzano w salonie.

— Zgrywam się dzisiaj, jak szalony — zaczął — i też gram, jak szalony: lecz bez myśli, bez pamięci, *à coup perdu!*... I łają mnie, i wymyślają, ale mniejsza o to!

Klocia, spojrzawszy ku niemu, szybko odbiegła. Po licu Alfonsa przemknął wyraz zadowolenia.

— Klociu, gdzie biegniesz? — zwróciła się Anna za nią, i pokraśniała nagle.

— Zaraz, zaraz powrócę! — wołało dziewczę, biegnąc coraz szybciéj. — Anna podążała za nią.

— Kazałem sobie wskazać w ogrodzie Mrowińskim ulubione przez panią miejsca — mówił Alfons, dotrzymując jéj biegu. — Pod lipą nowa stanęła ławeczka.... Pod kasztanami stolik i siedzenia.... Och, nie uciekaj pani!

— Spieszę za Klocią! — odrzekła Anna niemal bez tchu.

— Pokoik pani to kaplica moja!.... Panno Anno! — dodał namiętniéj — Jedno słówko!.. Jutro odjeżdżam!... Pani zrozumieć mnie musiałaś!... Och, jedno spojrzenie, Anno!.... Gdy znowu powrócę zdecyduje się wszystko.....

— Ależ, Alfonsie!... Gonię za tobą! — ozwał się za niemi Łasiński.

Alfons przystanął zły i mroczny. Anna tymczasem połączyła się z Klocią.

— Chodź-że, panie Alfonsie! — mówił Łasiński daléj.

— O cóż chodzi? — rozśmiał się niby Alfons, lecz zaciął zęby.

— Mama prosi.

— A!.... To idźmyż!... Głowa mnie boli, cięży, pali.... chciałem się przejść... Goniliśmy Klocię.

Gdy weszli do salonu, zamienił Łasiński porozumiawcze spojrzenie z panią Rożniszewską i Klementyną. Pierwsza zajęła go jakimś błahym pozorem.

W czasie herbaty, Alfons zbliżył się do stolika przy którym Anna haftowała. Wzrok Klementyny pogonił za nim, a pani Rożniszewska powstała z kanapy, usiadła obok niego — i coś mu prawić zaczęła. Alfons odpowiadał matce, ale we widocznem był roztargnieniu i skwaszony. Niecierpliwie zaczął leżące na stole książki przerzucać—otwierał je zamykał; to spojrzał na matkę, to uboczne na Annę rzucił wejrzenie.

— Nie dasz mi pani jakiego polecenia do Mrowina? — zaczął wreszcie, pochylając się ku niéj.

Anna zapłonęła. Pani Rożniszewska ostro na syna spojrzała, a potém na guwernantkę.

— Zechciéj pan proboszczowi moje oświadczyć uszanowanie i szczerą wdzięczność — odrzekła ta ostatnia nieco przycichym głosem.

Alfons nagle pochwycił książeczkę w złoconéj oprawie: Poezye Byron'a w oryginale — po licu jego mignął jakiś dziwny wyraz — począł kartki przerzucać, — i zmieniając wyrazy podług własnéj myśli, przeczytał dwuwiersz zakończający pielgrzymkę *Child-Harold'a*, głosem nieco stłumionym:

Farewell! with me allone may rest the pain,
With you, my only low, the hapiness!

Annę zdradził mocny rumieniec, że go zrozumiała. Pani Rożniszewska, nieznająca angielskiego języka, gniewnie patrzała się na nią, potém na syna, i aż niby pożółkła. Alfons na nic niezważając, daléj stronnice książki przerzucał przeczytał; znowu jakiś namiętny ustęp z *Korsarza.*

— Panno Anno, gdzież Klocia? — ozwała się do niéj pani Rożniszewska na raz jeden.

Guwernantka podniosła oczy i spotkała zwrócone na siebie spojrzenie Stanisława, siedzącego na drugim końcu salonu; zmięszana, powstała szybko i wybiegła Kloci poszukać — rada, że wydalić się mogła. Udała się następnie do swojego pokoju— i już więcéj nie widziała Alfonsa, który nazajutrz rychło Trock opuścił.

W parę dni potém, powracała Anna z Klocią z przechadzki, trzymając pęczek fiołków w ręku. Na tarasie spotkały Stanisława.

— Jakież fiołki prześliczne! — zawołał, i uśmiechnięty spojrzał się w zróżowione lica Anny, a tyle było wymowy i ciepła w tém spojrzeniu, że młoda dziewczyna bardziéj zrumieniła się jeszcze — i nagle spuściła powieki.

— Udaruj mnie pani choć jednym z tych fiołków! — dodał ośmielony.

Anna zawahała się — a potém jeden podała mu kwiatek, przybierając najobojętniejszą w świecie minkę.

Stanisław go pochwycił — niby mu słowa na ustach skonały — i skłoniwszy się lekko, do ogrodu pobiegł. Anna zapłoniona, odurzona, obejrzała się za Klocią — lecz już dziewczątka na tarasie nie było. Gdy weszła do salonu, zobaczyła ją przy Klementynie, i dostrzegła wyraz szyderczy téj ostatniéj.

— Jakież ładne fiołeczki! — zawołał Łasiński z ironiją — czy można panny Jarosławskiéj o jeden poprosić?

Anna podała mu kilka, i podążyła do swojego pokoju.

Łasiński z uśmiechem Mefistofelesa założył fiołki za guzik. Klementyna pogardliwie ramionami ruszyła, a przytém była marmurowo-blada. Rzuciła się na krzesło przy fortepianie, i *fortissime* marsza jakiegoś zagrała.

Pan Rożniszewski, czytający gazetę przy oknie, téj całéj sceny nie dostrzegł. Lecz uważała ją pani Rożniszewska, i wielce niechętnie spojrzała na wracającego do salonu Stanisława. Zmierzyła go i Klementyna wzrokiem badawczym — jak gdyby wyśledzić chciała, co z darowanym sobie zrobił fiołkiem — a Łasiński, swój pieszcząc pęczek, raz po raz powtarzał:

— Śliczne fiołki! cudne fiołki! — uśmiechnął się znacząco.

Wojarowski zdawał się wcale nie zważać na to, ale był w podnieconym humorze i mocniejszy miał na licu rumieniec.

Po chwili powstała Klementyna od fortepianu i wyszła — a ciągle była bardzo blada.

— Panie Stanisławie, zapalmy cygara i przejdźmy się trochę — zagadał Łasiński.

Stanisław głową skinął, i wyszli pomiędzy klomby przed pałac.

Okno od pokoju Anny stało otwarte, i dolatywały ich dzwięczne tony fortepianu: lube, rzewne melodje, przedźwięknie niekiedy i weselszą nutą—potém znowu, jakby tłumiona tęsknota, która popłynęła w pieśń poważną, pełną spokoju—w pieśń modlitewną.

Stanisław słuchał — rys każdy twarzy jego to wyrażał: zdawał się rozumieć tony téj pieśni— i widocznie silnego doznawał wrażenia.

Łasiński to uważał.

— Panna guwernantka *igra* sobie po klawiszach — zaczął, krzywiąc się szyderczo.

— Panna Anna *gra* śliczną darząc nas muzyką — odrzekł Stanisław z przyciskiem.

„Kto zrozumieć wieszcza chce,
Jego duchem niechaj tchnie!”

dodał uśmiechnięty.

— Ej, tego właśnie wieszcza nietrudno zrozumieć! — zawołał Łasiński i rozśmiał się głośno. Byle złowić kogo! Ot, spekulacya na męża! Rzecz zwyczajna, kobieca... Ale, bodaj tylko zastawione na Alfonsa sidła, jakiego nie zrodziły licha!

Stanisław nagle poczerwieniał i zacisnął cygaro w zębach.

— Nawarzyłoby się piwa, bo pan Rożniszewski nie żartowałby.....

— Dajmy temu pokój, panie Łasiński!—przerwał mu Stanisław, pobladły nagle — wszelkie podobne gadania rażą mnie szczególniéj i znieść ich nie mogę: nie nawidzę szarpania honoru czyjegokolwiek bądź!... Gadajmy raczéj o polityce, o polowaniu, o balecie, o wiście — dodał z pewném lekceważeniem — o preferansie, o koniach, i o czem pan zechcesz!

— No, no! Tak się téż wygadałem niechcący.... Gadajmyż więc o ostatniéj mowie Palmerston'a — i Łasiński coś tam prawić zaczął, ni w pięć ni w dziewięć.

Stanisław był wzburzony i milczał. Tony fortepianu ucichły — a od tarasu ukazał się pan Rożniszewski z proboszczem: Niezadługo wszelako spłoszył ich deszcz — deszczyk majowy, wonny, ciepły, istna rosa niebieska.

— A gdzież Tynia? — zapytał pan domu żony, wchodząc do salonu — zrobimy *wistha*.

— Zapewne w swoim pokoju, bo narzekała na ból głowy — odrzekła pani kwaśno.

— Pójdę i poproszę pannę Klementynę — ozwał się Łasiński i wyszedł.

— Zasztukał we drzwi panny Rożniszewskiéj.

— Kto tam? — zapytała.

— Papka prosi do *wiseczka*! — i drzwi odemknął.

Klementyna podniosła się z leżanki, była ciągle blada, a na jéj ustach igrał uśmiech wymuszony widocznie.

— Chodźmyż więc! — zawołała gorączkowo.

— Nagadałem tam panu Sianisławowi — poszepnął jéj znacząco Łasiński.

— Co takiego!

— O niéj — i wskazał ku mieszkaniu Anny— odmalowałem ją przynależnie, jak zasługuje.

— I cóż? niepokój wewnętrzny odbrżmiewał w tém zapytaniu młodéj dziewczyny.

— No! Co ma być? Uważa ją zwyczajnie, jako guwernantkę Kloci i *basta!*... Ale zawsze lepiéj pozbyć się tego towaru z domu — dodał ciszéj.

— Tylko, że papa tego wszystkiego nie widzi, i broni jéj nawet.

— To téż tém bardziéj *fora!* — poszepnął przyjaciel domu cichutko, i obejrzał się w koło, jakby badając, czyli go ściany nie podsłuchują.

— Jakto!.... Klementyna spojrzała na niego nagle ździwiona i zlekka pokraśniała.

— O!... Cyt!... Chodźmy! — podał jéj rękę, i udali się do salonu.

— A co, główka boli jeszcze? — zapytał ojciec pięknéj córy, dotykając się woniejącą dłonią jéj czoła.

— Już lepiéj — odrzekła i poniosła do ust pieszczącą ją rękę.

Zasiedli do *wisth'a*. Partnerem Klementyny był Stanisław — i zwolna stawała się spokojniéjszą: powróciło jasne wejrzenie i odcień róży na lica.

Anna, przestawszy grać na fortepianie, przystąpiła do okna — ale zobaczywszy panów opodal na chodniku, cofnęła się zaraz. Po chwili deszcz rzęsisto spadający znowu — woń cudna, orzeźwiająca powiała ku niéj. Patrzała się w zamglony przestwór — a siła myśli cisnęło się do głowy, że ich sama nawet nie potrafiła rozplątać; i siła uczuć przepełniało serce — że aż uderzało mocniéj.— Przedwieczorna doba, przewoniona świeżym powiewem, urocza spokojem natury całéj, to chwila wspomnień — wspomnień lubych, błogich— i smętnych. To téż i Anna miała róże na licu a łzę na oku. Deszcz zwolna ustał. Zachodzące słońce złocistym brzeżkiem raz jeszcze z poza chmury, jakby uśmiechem; do widzenia! zabłysło — a na południu rozłuczyła się cudnie tęcz siedmiobarwna. Anna, wychylona z okna, obejmowała całą duszą malowniczy ten obraz.

— Herbata na stole — przerwała jéj prozaicznie służąca.

— Idę — odrzekła, spojrzała raz jeszcze na cudną poezyą natury, przygładziła machinalnie włosy, i zeszła do salonu, dziwnie rozmarzona i z podnieconym na licu rumieńcem.

Pani Rożniszewska była naprężona i poważna bardzo. Klementyna w nastrojonym humorze— niby wesoła, śmiejąca się i głośna, jaka nie bywała zwykle. Łasiński raz po raz jakiś rzucił sarkazm. Stanisław milczał, jedynie niby grą zajęty. Pan Rożniszewski, z pod opuszczonéj powieki rzucił na powabną guwernantkę kilka strzelistych spojrzeń.

Odosobniona od towarzystwa, gdyż i Klocia innego szukała zajęcia — Anna zaraz po herbacie wysunęła się z salonu, by do siebie powrócić. Ale wprzódy, dla przechadzki, zamierzyła jeszcze pałac w koło okrążyć. Właśnie gdy skręciła poza grleryą, posłyszała idącego za sobą — i pan Rożniszewski zagadał do niéj:

— Pani chusteczkę zgubibiłaś.

Anna obejrzała się i przystanęła.

— Gonię za panią — dodał ciszéj słodziutko, stawając przed nią — a pani uciekasz jak ptaszek spłoszony. Znalazłem zgubę — pochylił się ku niéj ze znaczącém spojrzeniem, podając batystową chusteczkę.

— To nie jest moja — odrzekła Anna — nic nie zgubiłam.... Dziękuję — skłoniła się i pospiesznie odbiegła.

Gdy stanęła w swoim pokoju, usiadła przy oknie i patrzyła się długo w szarzejący przed nią krajobraz. Wieczór zapadł — a zdala dochodziły ją smętne tony ligawki. Słuchała — tęskne owłodło ją uczucie — rozrzewnienie — łzy zapełniły jéj oczy — a potém, jakby z potrzeby serca— rzuciła kilka myśli w *Notatkach* swoich:

„O, moja matko gdzieżeś! Czemuż u stóp twoich przyklęknąć nie mogę!... Serce tak pełne, tęskne — a przy tém i szczęsne wspomnienie — wspomnieniami, któremi duszy *nie powinnam* rozmarzać.

Noce letnie dziwnym, niewysłownym przemawiają urokiem — pamięcią tego co się przeżyło!— czarują widokiem natury, tajemnicze przedmiotom nadając kształty. Woń ich upaja — i we wszystkiem wieje przypomnienie czegóś.... co elektrycznie w stronę serca, w stronę duszy uderza!.. elektrycznie i harmonijnie — harmoniją jedyną, ukochaną, obejmującą dla nas świat cały!—Czucie całe biegnie ku ukochanym i staje się modlitwą!

O, moja matko-aniele! Księżyc zajrzał do mojego okienka, ten sam który i tobie przyświeca! jasny, a tak łagodny, jak oko przyjaźni. Gdy wychylę się nieco, nań patrząc — to lekka *przecina go gałęź* — i chwytam ten obrazek — i raczéj wspomnienie! — Woń fiołków mnie owiewa— dzwięczą mi posłyszane wyrazy — och, to nie dobrze! — Coby babka ukochana na to mówiła!... — Już dzisiaj nie będę pisała więcéj."

Anna uklękła — utopiła wzrok łzawy w ciemnym błękicie — a potém przez długą chwilę swój przebiegała pokoik. Zwolna powrócił spokój w rozburzoną duszę młodéj dziewczyny — i znowu usiadła przy oknie. Myślą sięgała Mrowina — lat dzieciństwa — to znowu przyszłe, szczęśliwsze malowała sobie chwile. Bujna wyobraźnia coraz większe zakreślała rozmiary — wielkie, świetne obrazy, wywołane silném a gorącém uczuciem— o jakich śnić lubią ziemi naszéj dziewice.

Parę upłynęło godzin. Cisza — najzupełniejsza cisza trwała w około, — gdy na raz jeden z poza ogrodu, doleciał ją szybki stukot podkowy, oddalającego się jeźdźca.

„To on!" — targnęło w duszę dziewczyny— porwała się mimowolnie, mimowiednie, a lica jéj róży najświeższym zakwitły odcieniem.

Słuchała — odgłos słabnął — przycichł— przebrzmiał — i żal jéj było, niewiedzieć czego. Rzuciła się na krzesło:

„Gdybym go już więcéj ujrzeć nie miała!"— i dotkliwe, niepojęte, zraniło ją przeczucie.

„Przeczucie? Mażli-to być przeczucie?" — odbrzmiało w jéj łonie — „zkądżeż mi myśl podobna?... Kto wie! Któż-to wie?!" — i wszystkie tętna uderzyły trwożnie.

Biedna, samotna Anna!

Takie chwile miewa nieraz sierota — obca wśród obcych — zwłaszcza też wśród obcych duchem.

— Pewnie pani także już spać pójdzie? — przerwała jéj wchodząca Agatka.

— Tak — i Anna machinalnie powstała.

— Myślałam, że pani jeszcze na dole. Pan Wojarowski dopiero-co odjechał.

Pokojowa coś tam jeszcze szczebiotała: miała wyraźną ochotę do gawędki — lecz Anna nie słuchała wcale: dusza jéj była gdzieindziéj — i też żadnych od niéj nie przyjmowała nowinek.

Długo usnąć nie mogła. Po północy usłyszała trąbkę pocztową na dziedzińcu: uderzyła ją myśl, że to Alfons przybył — i więcéj jeszcze niepokoju dodała. Nazajutrz oznajmiła jéj Agatka: że w nocy przybył pan mecenas Gębski. Anny serce uderzyło, że aż pobladła — posnuł się przed oczami Mrowin — i łzy matki i babki! (d. c. n.)

DONIESIENIA.

W Redakcji Tygodnika Mód można nabyć:

—*Książkę do nabożeństwa dla wieśniaków*, ułożoną przez Janka z Bielca, z dwoma rycinami, w oprawie mocnéj ozdobnéj, za złp. 2 gr. 15; kupującym egzemplarzy 10, przesyłka nastąpi kosztem Redakcji.

—*Modlitwę poranną* Janka z Bielca, po zniżonéj cenie egzemplarz za gr. 10.

—*Obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj*, sztuka gr. 3

—*Alfabet duży i mały* do uczenia liter, arkusz gr. 3.

Kupującym za złp. 10 ostatnich trzech wydawnictw, Redakcja takowe kosztem swoim prześle.
